NUMER 23. DNIA 7-go CZERWCA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Bajeczna watra.

(Z FRANCUSKIEGO.)

Podczas gdy 18.000 żołnierza pod Dupon-t'em ginęło z głodu na wyspie Cabrera, Napoleon, czując, że Portugalja wymyka mu się z rąk, przygotowuje nową armję i ciągnie forsownymi marszami ku Hiszpanji.

To już nie młodzi rekruci, gołowąsi, ci żołnierze, przechodzący góry; cesarz wezwał z Niemiec trzy pułki piechoty i moc kawalerji, na którą składały się zastępy ponure i milczące w marszu, wytrzymałe na trudy, zestarzałe w zwycięztwach, okryte chwałą po walkach pod Eylau i Friedlanden.

Ale i tego jeszcze nie starczyło, by uderzyć na Hiszpanję. Aby przerazić ten naród widokiem siły, której nie oglądały jego oczy, dołączył cesarz do armji ekspedycyjnej swoją gwardję— tę gwardję imponującą milczeniem, która od lat już wielu dumna i niewzruszona, z bronią u nogi, uformowana w szeregi, była właściwie tylko widzem bojów; gwardją, której nikt nie śmiał wysłać w wir walki, z obawy, by jej nie utracić, a którą Napoleon, niby świtę swoją, niby postrach wiódł od stolicy do stolicy.

Armję stutysięczną powiększyły dywizje młodego żołnierza, rozstawione nad rzeką Ebro i w Katalonji — razem około 200 tysięcy ludzi.

Gdy zobaczono tę armję, zaciężni z ostatniej kampanji wylegali na drogi, by ją witać. Przy dźwiękach muzyki pułki z pod Jeny przechodziły Ebro.

„Patrzcie, mówiła młódź, ot są i siwi wąsacze!“

I istotnie, zaledwie przybyli, Napoleon nakazał kroki zaczepne, i wkrótce wszystko, co zamierzało stawiać opór, zostało zniszczone, rozniesione, niby żywiołową siłą. Hiszpanów opanował niepokój; zebrali swe wojska pod murami Burgos i tutaj czekali bitwy. Miała ona miejsce 9. Listopada; trwała krótko. Po niej zwycięzca miał drogę otwartą do Madrytu.

Pewnego wieczora rozłożyli się Francuzi biwakiem nad brzegiem rzeki, na płaszczyźnie Aranda. Zmrok zapadał, ze wszech stron rozlegały się szepty rozmów, przerywał je tu i owdzie śmiech głośniejszy, sprzeczka jakaś, a niezliczone ognie błyszczały przesłaniane od czasu do czasu długiemi smugami niebieskawego dymu, niknącego w cieniach nocy coraz zimniejszej.

Była to godzina wieczerzy.

Rozmawiano z ożywieniem w kwaterach gwardji. Splądrowana Lerma dostarczyła do tych ognisk swoich merynosów, których udźce, nadziane na bagnety, piekły się powoli. Cały regiment był na nogach.

W jednym z bataljonów rozmowa ożywiła się:

— Ja wezmę uwolnienie! — odgrażał się jeden ze starych wąsaczów.

— Albo się jest żołnierzem, albo się nim nie jest — potakiwał mu inny. — Jakże tu pomyśleć o tem, że nie dalej jak ostatnim razem, w Burgos, ci smarkacze konskrypcjoniści drwili sobie z nas!

— A tak, tak — potwierdzał sierżant o twarzy, przeciętej szablą wzdłuż i wszerz, w znak krzyża.

— Od pięciu lat nie bijemy się! On prowadzi nas; niejednemu wydaje się, że nareszcie, a tu naraz: „Na prawo zwrot... Stój! Ani drgniesz!“ No i patrzy się, jak tamci umierają, a gdy rozprawa skończona, znowu: Na prawo i znowu: stój! „Żołnierze starej gwardji — mówi wtedy do nas — wy jesteście moi „nieśmiertelni“.

— Ma rację — dodał jeden z dowcipnisiów — w ten sposób, chociażby się to ciągnęło niewiedzieć ile lat, my zawsze będziemy nieśmiertelni, bo nigdy śmierci w ślepia nie zajrzym.

— Otóż najgorsze — burknął ktoś drugi — że z tego „nieśmiertelni“ szydzić zaczynają już i rekruci nawet.

Cały bataljon gwardji zgromadził się i wziął udział w rozmowie, tłocząc się ku światłu ogniska — pomruk dochodził zewsząd.

— Trzeba mu to powiedzieć... Ty, Ripart, pójdziesz do niego... on ciebie pamięta.

— Pójdziemy wszyscy przełożyć, że to nie może trwać dłużej, i że nie chcemy godności „nieśmiertelnych“.

Nagle za plecami zebranych usłyszano kroki zatrzymujące się i rozległ się głos poważny, cokolwiek nosowy:

— A co to?

Stanęli tyłem do ognia wszyscy, jak jeden człowiek.

To cesarz obchodził biwaki.

Mały, z rękami, założonemi z tyłu, z głową pochyloną naprzód, patrzył na wiarusów... i wyglądał w tej pozie, jak duch mroków, tylko wzrok jego lśnił w cieniu nawet. Zamyślony, nieruchomy w ciemnościach nocy, wydawał się nadludzkim i strasznym.

Żołnierze stali w niemem milczeniu.

— Kto tu chciał mówić ze mną? — powtórzył.

Nikt nie odetchnął nawet.

Napoleon uśmiechnął się, postąpił jeszcze parę kroków ku ognisku i wyciągnął ku niemu ręce.

— Nieprawdaż, to ty, Ripart, ciebie widzę tam za tym bębnem? Dlaczego nie masz krzyża? Obiecałem ci go pod Auerstaedt...

— Dwa lata temu — rzekł Ripart.

— Będziesz go miał; a ten drugi, to Champeaux?

— Obecny, Najjaśniejszy Panie.

I wymienił tak Napoleon kilku; znał on swą gwardję całą prawie.

— Jesteście moimi najlepszymi żołnierzami, najdzielniejszymi jacy są na świecie — rzekł.

— Najdzielniejszymi — powtórzył.

I machinalnie wysuwał ręce przed siebie i grzał je.

Ktoś szepnął z cicha:

— Zimno mu...

Wtedy kilku żołnierzy znikło, i wkrótce Ripart wysunął się:

— Spocznij tu, Najjaśniejszy Panie.

Przyniósł na głowie fotel ze złoconego drzewa, adamaszkiem pokryty i ustawił go teraz przed ogniem. Cesarz usiadł.

Ze wszystkich stron obozu napływały tłumy czarne, które prowadził posłuch, że cesarz znajduje się w pobliżu; jedni odchodzili, drudzy ich zastępowali, a on zadumany, zagłębiony w fotelu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, marzył...

(Dok. nast.)

Włodzimierz Wolski.

(Ciąg dalszy.)

W owym czasie powieści pisano u nas bez porównania mniej, niż dzisiaj, więc też budziły one więcej zaciekawienia, zwłaszcza, gdy chodziło o utwór znanego poety.

Pani Łuszczewska więc skorzystała z tej okoliczności i zaczęła przed hrabiną *** wychwalać powieść Wolskiego, naturalnie na wiarę jego słów. Twierdziła, iż powieść unosi czytelnika w najwyższe sfery myśli i uczucia, a uczyniła to tak wymownie, iż hrabina *** objawiła życzenie poznania tego nieznanego arcydzieła.

Co prawda, powieści Wolskiego, te przynajmniej, które były później drukowane, wbrew twierdzeniu pani Łuszczewskiej, nie miały zgoła nic wspólnego z najwyższemi sferami myśli, nie unosiły w błękity. Tego przecież ona wiedzieć nie mogła. Autor, jeden z pierwszych u nas realistów, forsował tony i doprowadzał je nieraz do brutalnych efektów a wówczas jeszcze Zola i cała szkoła naturalistów nie przyzwyczaiła do nich czytelników. Literatura, zwłaszcza francuska, najwięcej u nas rozpowszechniona, miała wykwintny charakter. Lamartine, pani Sand, Musset królowali w niej wespół z Balzakiem. A jakkolwiek wszyscy realiści wywodzą się od Balzaka, różnił się on jednak od swoich następców przedziwnym smakiem artystycznym, który nie pozwalał mu rozwodzić się zbytecznie nad wstrętnemi scenami nawet wówczas, gdy prawda wymagała, aby ich nie opuszczać.

Wolski tej miary artystycznej nie posiadał, powieści swe pisał dorywczo, bo do żadnej systematycznej pracy zdolnym nie był, pod wpływem różnych czynników, a pisał je jak najprędzej dlatego, że powieść była wówczas pożądaną formą literacką, gdyż Kraszewski wyrabiał jej coraz większe prawo obywatelstwa w naszem społeczeństwie. Wolski właściwie jednak powieściopisarzem nie był, a utwory jego tego rodzaju musiałyby razić wykwintny smak arystokratycznej kobiety, jaką była hrabina ***.

Nie odczytała ona jednak nigdy rękopisu, gdyż dostał się w jej ręce w stanie trudnym do opisania, a znamionującym dosadnie niesłychaną lekkomyślność autora.

Wolski był nieporządny w najwyższym tego słowa znaczeniu, nieporządek ten odbił się aż nadto na rękopisie, pisanym na świstkach, brudnych, zatłuszczonych, przejętych wonią łoju, tytoniu, alkoholu. Z niepojętą prawdziwie niedbałością, nie zadał sobie pracy przepisania go, obwinął tylko pięknym glansowanym papierem, obwiązał niebieską wstążką i wręczył swojej protektorce. Może myślał, iż żądanie rękopisu było ze strony hrabiny prostym aktem grzeczności, i że zostanie wrócony mu nietknięty. Najprędzej jednak nie myślał nic wcale i gdy pani Łuszczewska zażądała w imieniu hrabiny rękopisu, dał go takim, jakim był, byle jej się pozbyć. Protektorka, nie mogąc przypuścić, co kryje elegancki z pozoru zwitek, była tak nieoględna, że go nie obejrzała i wprost zawiozła hrabinie.

Łatwo sobie wyobrazić, co nastąpiło. Hrabina odesłała go obrażona pani Łuszczewskiej, dziwiąc się iż przysłała jej rzecz, której wprost nie można się dotknąć. A gdy ta czyniła gorzkie wymówki Wolskiemu, że ją naraził na taką kompromitację i uniemożliwił jej dobre chęci, rozgniewał się nie żartem i powiedział, że nie jest stworzony na bibljotekarza, że drwi sobie z urzędu, z bibljoteki, z jej właścicielki, z wszystkich, co nie umieją szanować swobody, jaką prawdziwy artysta mieć powinien i wyszedł, nasuwając pomięty kapelusz na oczy.

Nie pierwszy to raz Wolski dał się we znaki pani Łuszczewskiej. Pomimo jego niepoprawnego charakteru, widząc istotną nędzę, starała się nietylko być mu pomocną, ale dźwignąć go, postawić na właściwem stanowisku i dać możność wykazania swych wielkich zdolności. Salon jej miał w swoim czasie niezmierne znaczenie i pozostanie na zawsze w historji życia towarzyskiego Warszawy, jako jedyne niemal miejsce, w którem spotykały się wszystkie bez wyjątku znkomitości, stale lub czasowo przebywające w mieście. Bywali na poniedziałkach państwa Łuszczewskich członkowie arystokracji, uczeni, literaci, artyści, słowem ci wszyscy, którzy rodem, zasługą, talentem przodowali w kraju a gospodarstwo z nieporównanym wdziękiem i serdecznością zajmowali się

swymi gośćmi. Liczba ich też wzrastała ciągle, tak iż salony zawsze zdawały się na liczbę bywających zbyt ciasne, chociaż rozszerzała ściany staropolska gościnność.

Pani Łuszczewska była niewyczerpaną w pomysłach ku urozmaiceniu swoich poniedziałków, a w roku 1844 urządziła przedstawienie amatorskie, którem zajmowało się całe towarzystwo warszawskie. Amatorzy pod jej kierunkiem porwali się na rzecz niemałą, na wyjątki z Fausta Göthego z uwerturą, pieśniami i chórami księcia Antoniego Radziwiłła. Ażeby rzecz podobną wykonać, trzeba było sił pierwszorzędnych, więc też w jednym tylko salonie państwa Łuszczewskich odbyć się ona mogła.

Faust w owym czasie nie był jeszcze przełożony na nasz język, tłómaczenie więc kilku wybranych scen powierzono Wolskiemu. Była to praca jakby dla niego stworzona, gdyż zdolny był odczuć piękności oryginału i oddać je w odpowiedniej poetycznej formie. Na nieszczęście tłómaczenie nudziło go, niepoprawny próżniak nie znosił żadnego wysiłku i dlatego to zapewne pomimo doskonałej znajomości obcych literatur nie przysłużył się ojczystej żadnym innym przekładem, prócz owych wyjątków z Fausta.

W projektowanem przedstawieniu miał on wziąć na siebię rolę Mefista. Ówczesna powierzchowność jego nadawała się do odpowiedniej charakteryzacji. Szczupły, blady blondyn o nieregularnych ale delikatnych rysach, miał jasno stalowe oczy, wielkie, rozwinięte czoło i spiczastą brodę. Nadawało mu to podobieństwo do kota, ale można też było z tej fizjognomji urobić łatwo typ szyderczego Mefista, tem bardziej, że Wolski w życiu towarzyskiem i sercowem pozował zawsze na demoniczność.

Wziął też bardzo do serca i swoją rolę i tłómaczenie. Łatwiej mu jednak było zapalić się do jakiej myśli, niżeli ją wykonać. Z tego powodu pani Łuszczewska żyła w ciągłej trwodze, czy tłómaczenie wykończy na czas oznaczony; musiała używać najrozmaitszych forteli a nawet niekiedy ustanawiała straż nad poetą, którego nie wypuszczano z pokoju, dopóki nie ukończył zadania.

Trudność położenia powiększał fakt, że Wolski nie miał stałego *locum* a raczej miał ich wiele, gdyż wolał mieszkać u innych, niż u siebie, więc skoro który z kolegów lub zamożniejszych braci literatów przyjeżdżał do Warszawy, przenosił się do niego ze swojej izdebki. Z tego powodu znaleźć go na razie było bardzo trudno, i zdarzało się nieraz, że go jak szpilki szukano po mieście. A trzeba jeszcze dodać, że lubił otaczać się tajemnicą.

Przenosiny jego nie przedstawiały trudności. Rzeczy jego ograniczały się najczęściej do tych, jakie miał na sobie, w potrzebie posługiwał się bez żadnej ceremonji garderobą przyjaciół. Umeblowanie izdebki, którą zamieszkiwał na Bednarskiej ulicy, składało się z prostego łóżka, krzesła i stołu, niezawsze całych. Izdebkę pełną kurzu i pajęczyn, nigdy nie sprzątaną, zapełniały stosy książek i papierów, służących także za wygodne składy śmieci różnego rodzaju. Nie dziw więc, że Wolski chętnie z niej uciekał, skoro tylko znalazł gdzieindziej schronienie.

Dzięki pilnemu dozorowi, któremu chcąc nie chcąc poddać się musiał poeta, dokonał tłómaczenia. Może też działała na niego podniecająco ważna rola, jaką miał w przedstawieniu odegrać, tem bardziej, że cała Warszawa żywo się niem zajmowała. Zawczasu starano się o zaproszenia, tem bardziej, że liczba ich musiała być ograniczona szczupłością miejsca, a żądań było bez liku.

Wszystkie szczegóły o tym pamiętnym wieczorze słyszałem wielokrotnie opowiadane przez jednego z głównych uczestników przedstawienia.

Wybrane wyjątki składały się z monologu Fausta i sceny z duchem z pierwszego aktu, oraz z dwóch znamiennych scen pomiędzy Faustem a Mefistem. Na tem kończyła się część deklamacyjna. Potem Gretchen śpiewała pieśń przy kołowrotku i pieśń w kościele, a chóry odzywały się kilkakrotnie. Roli Gretchen podjęła się młoda i ładna pani Aniela Kurtzowa, do chóru męzkiego, któremu przywodził Ignacy Komorowski, wchodziło wielu dobrze znanych Warszawie osobników, brał w nich udział między innymi, Józef Kenig, wówczas jeszcze w zaraniu swego dziennikarskiego zawodu. Amatorowie występowali w zwykłym balowym ubiorze.

(C. d. n.)

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

POWIEŚĆ.

(8) (Prawo przekładu zastrzeżone.)

„Wierzę, mój Panie, iż mię przyjmiesz do miłosierdzia swego, jakoś marnotrawnego przyjął syna i jakoś przyjął grzeszną niewiastę, Magdalenę; Ty wiesz sam, dobry Panie, jak się masz nademną zmiłować; a miłosierdzie Twoje większe, niż grzechy całego świata; a tak mam ufność w łasce Twojej, Panie, iż mnie też raczysz w strapieniu mojem pocieszyć. O co Cię pokornie proszę przez owo w Ogrojcu Judaszowe zdradzenie, i przez one haniebne pojmanie od niewiernych żydów, i przez okrutne i nielitościwe przez rzekę Cedron prowadzenie, i o kamień zranienie. Po którem-eś przywiedzion do Annasza, a tameś policzek wziął niewinnie; potemeś wiedzion do Kaifasza, tameś naigrawan, okrutnie policzkowan; potemeś ku Piłatowi wiedzion, gdzie Twe najszlachetniejsze ciało było zbite i łańcuchem obciążone. Przez one fałszywe świadectwo przeciw Tobie, przez nielitościwe prowadzenie do Heroda, przez sromotne od Heroda do Piłata znowu odwiedzenie, i przez nielitościwe odzienia zdarcie, i u słupa okrutne biczowanie, i przez niewinne na śmierć osądzenie, przez okrutne przybicie rąk i nóg Twoich do krzyża, przez smakowanie żółci z octem, przez siedm słów twoich najświętszych, przez żałość Matki Twojej, którą miała, pod krzyżem stojąc i patrząc na Ciebie tak zbitego, między łotry zawieszonego; przez śmierć Twoją najświętszą, przez przebicie boku i serca Twego, i przez Twoje do grobu złożenie, — przez te wszystkie najświętszej męki Twojej wspomnienia, i przez siedem boleści Marji, Matki Twojej, przez to wszystko, com ja grzeszny wspomniał — racz mnie, o Panie, w tej prośbie wysłuchać: wyrwij mnie z tej nędzy ciężkiej, jakoś wybawił Jonasza z brzucha wieloryba, Zuzannę od śmierci, Daniela z paszczęki lwów, Piotra z głębokości morskiej.

„O Boże! O Adonaj! Wielki i miłosierny! Zmiłuj się nad nami!

„Jakoś cudownie lud Izraelski z Egiptu mocą prawicy Twojej wyprowadził i przez czterdzieści lat na puszczy karmił, opatrował: tak i nas, sługi Twoje z tego utrapienia, nędzy i z wszystkiego uciśnienia wyrwij. Prosimy Cię w Imię jednorodzonego syna Twego, Jezusa Chrystusa, który nam to słowem swojem przyobiecał, mówiąc: „O cokolwiek Ojca mojego w imię moje prosić będziecie, wszystko wam będzie dane!“

„Tedy w imię to najdroższe Jezusa, Boże Ojcze wszechmogący, proszę Cię...“

W książce następowało:

„Tu trzeba przydać i nadmienić, o co się chce Pana Boga prosić“.

Tekla przerwała czytanie i ułożyła w myślach prośbę, ale jej nie śmiała na głos wypowiedzieć. Pan Bóg i tak wie... i Łukasz też wie... Czytała dalej:

„O to wszystko, Boże wszechmogący, proszę cię — i wierzę, iż raczysz wejrzyć na zasmucenie serca mego. Bo któż mnie ma inszy cieszyć, któż jest, któryby mi co dobrego uczynił? Tylko Ty, Panie, Boże mój! Nie opuszczajże mnie, ale wspomóż, jedyna moja nadziejo!

„Przez wielką miłość Twoją, któraś umiłował człowieka, żeś zstąpił na ten świat, żeś się sam stał człowiekiem i pódjął okrutną śmierć — Stworzyciel — dla swego stworzenia — O Panie Jezu! Najmocniejszy Królu! Raczże mnie w nędzy pocieszyć.

„Polecamy się Twojej najświętszej opiece... O najłaskawszy i najmiłościwszy Odkupicielu nasz, nadziejo nasza i objawienie nasze jedyne, o najdobrotliwszy Jezu, Kochanku nasz najmilszy, o wszystka miłości nasza, słodkości serca naszego, żywocie duszy naszej, o najjaśniejsza światłości nasza, największe wesele nasze, pokoju nasz najwdzięczniejszy, o bogactwo nasze najwyższe, dobroci nasza, doskonałości nasza, o raju wielkiej rozkoszy! pokaż Twą litość nad nami!

„Chryste! Jakeś mocą swoją Bożą cudem nakarmił rzesze niezliczone siedmiu bochenkami chleba — tak, prosimy Cię przez Twoje miłosierdzie, nakarm dzisiejsze sługi Twe niegodne...“

Głos jej złamał się w płaczu. Opanowała się jeszcze, i z sercem, wiarą gorejącem, szepnęła słowami swemi:

— Nie daj nam i naszym dzieciom pomrzeć z głodu....

Po tych słowach Łukasz zesunął się z ławy i runął kolanem na podłogę. Z piersi dobywało mu się ciężkie sapanie. Pięści przy oczach trzymał i trząsł się cały z płaczu.

(C. d. n.)

CHŁOPI.

(Dokończenie.)

(Ostatni rozdział książki p. Władysława Łozińskiego pt. „Prawem i lewem“.)

W dalszym ciągu omawia autor sądownictwo chłopskie. Z nielicznych i przygodnych tylko wzmianek w aktach wynika, że w sądownictwie tem odgrywali rolę w ziemi halickiej atamanowie, w przemyskiej tywunowie, w lwowskiej wójtowie, w ekonomji samborskiej kniaziowie, we wsiach t. zw. wołoskich nad Strwiążem krajnicy, że w starostwach odbywały się perjodyczne zbory, na których odbywały się sądy, że szlachta odsyłała swoich chłopów zbrodniarzy często przed sąd ławniczy najbliższego miasta, częściej do grodu; spotykamy jednak także przykłady, że dziedzic sam, z własnej mocy jest i stroną i sądem i wykonawcą wyroku, że sam prowadzi inkwizycję, sam woła kata, sam skazuje na śmierć winowajcę w pierwszej i ostatniej instancji.

Nieprzebraną, godną palmy męczeńskiej, była cierpliwość ludu; rzadkie są przykłady otwartego oporu, buntu, odwetu. W królewszczyznach tylko zdarzały się wypadki oporu. Chłopi z Gielarowy, Dębna i Sarzyny w starostwie leżajskiem chwytają się także otwartego oporu, jako ostatecznego środka przeciw nieprawnemu uciskowi, a dodaje im otuchy jakiś tajemniczy ksiądz. — Również i włościanie z pod Kańczugi znajdują obrońcę i przewodnika w księdzu Kasprze Fabrycym, który, widząc ucisk, jakiego chłopi doznają od dzierżawcy, niejakiego Mietelskiego, powiada im: „Zdobywacie się na co innego, a na kij się nie możecie zdobyć; zdobędźcie się na kij; kijem że dobrze Mietelskiego i zabijcie go, jako psa.“ Jakoż mało do tego nie przyszło. Dopiero jednak w roku 1628 ziemia halicka staje się widownią krwawych buntów chłopskich, ale i w nich odgrywa rolę ważniejszą motyw rozbójniczy, opryszkowski, aniżeli zamiar społecznego odwetu. Rozgorzał od żagwi, rzuconej z obozów kozackich Chmielnickiego, a miał podkład na poły socjalny, na poły rozbójniczy, z silną przymieszką wyznaniową, która objawiła się w gorącym udziale popów ruskich. Najwybitniejszą postacią w tym buncie był wspomniany już poprzednio Ihnat Wysoczan, który, zebrawszy około 15.000 chłopstwa, założył obóz w Ottynji i dobywał okoliczne zamki. Najgłówniejszego kontyngentu dostarczyło bandom chłopstwo starostwa kałuskiego i dolińskiego, największą zażartością odznaczyli się mieszczanie kałuscy i rohatyńscy, a nie brak było w tym buncie także i szlachty. Mordowano, palono i rabowano; nie przepuszczano kościołom i grobom. Złupiono bogaty kościół rohatyński, zamek bukaczowiecki. Trudno przytaczać czyny zbójeckie tych band, ale krwawy był też i odwet. Powiatowe chorągwie szlacheckie, straszliwie srożyły się nad zbuntowanem chłopstwem. — W samej wsi Łysej dwudziestu chłopów rozstrzelano lub ścięto, trzydziestu mieszczan zabłotowskich dało głowy pod topór kata; w Hanuszowcach padło w doraźnej egzekucji kilkudziesięciu chłopów, wieś Błudniki doszczętnie zniszczono, miasto Śniatyn padło prawie całe ofiarą odwetu.

Uwagi godna rzecz, że drobna szlachta chodaczkowa i zagonowa podzieliła się na dwa obozy: jedni w szeregach lub na czele zbuntowanego chłopstwa, inni zaciągnęli się pod chorągwie powiatowe. — Anarchiczna część drobnej szlachty, o ile nie padła pod szablą żołnierzy powiatowych, odpokutowała później gorzko swoją winę, a nawet i samą spokojną szlachtę zniszczyły do reszty chorągwie powiatowe. — Posypały się też wkrótce protestacje i pozwy przeciw rotmistrzom z sążnistymi wykazami szkód poczynionych chłopom — mizerny, pieniacki epilog społecznego dramatu.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Na srebrnym globie*, powieść przez Jerzego Żuławskiego. Nakład Tow. wydawniczego we Lwowie, 1903. Wzorem i śladem lotnej fantazji Vernego, a w ostatnich czasach Wellsa i innych, zwłaszcza angielskich, pisarzy, poszedł i p. Jerzy Żuławski w najnowszej swojej powieści.

Sensacyjne są dzieje garstki wygnańców dobrowolnych na „srebrnym globie" czyli księżycu już skutkiem nadzwyczajnej fantazji, a jeszcze bardziej, że w twórczości autora stanowią one, nie wiadomo co, czy zapowiedź nowego kierunku, czy też chwilowe tylko zboczenie z drogi zwykłych poezji i dramatów, którymi p. Żuławski zaznaczył się w naszej literaturze.

Garstka ludzi, a między nimi jeden Polak znaleźli się na księżycu. — Od powieści Vernego więc postęp znaczny. Ludzie znaleźli się ostatecznie na srebrnym globie, ale po to tylko, aby zaraz w pierwszej chwili pobytu tamże, zatęsknić za rodzinną swoją planetą, za ziemią. Ale fantazję trzeba było skojarzyć jakoś z naukową prawdą, która przy pomocy szkieł, teleskopów i analizy spektralnej zbadała naturę, geografję i fizjologję księżyca z bardzo wielką już dokładnością: Wprawdzie p. Żuławskiemu nikt nie wziąłby za złe, gdyby w utworze fantazyjno-powieściowym nie był uwzględnił wyników astronomji, ale też za to tem bardziej trudno mu robić wyrzut z tego, że fantazji własnej zakreślił pewne i stałe granice, nie wykraczające przeciwko przynajmniej pewnikom naukowym. Wiadomo, że księżyc obrócony jest do ziemi zawsze tylko jedną stroną swojej tarczy, podczas kiedy strona druga, druga półkula srebrnego globu pozostanie dla nas najprawdopodobniej wieczną tajemnicą. Jest dzisiaj pewnikiem, że na stronie księżyca, która jest ku ziemi zwrócona, nie ma i być nie może żadnego życia organicznego, ale po drugiej stronie któż wie, co się dzieje? Otóż tę drugą, nieznaną, a tem samem szerokie pole fantazji pozostawiającą stronę srebrnego globu obrał p. Żuławski za miejsce działania dla bohaterów swojej powieści. Warunki życia na księżycu przyjmuje autor za nędzne i smutne. Garstka ludu karłowacieje tam, wyzbywa się pod wpływem otaczających ją warunków wszelkich szlachetniejszych popędów, jednem słowem nędza i fizyczna i moralna. A powstanie tego nowego pokolenia karłów poprzedził dramat prawdziwie ziemski, chociaż na ziemi w każdym razie bezprzykładny i niemożliwy. Rodzajowi ludzkiemu grozi zagłada, bo to jedna tylko została kobieta, kobieta, której śmierć zabrała mężczyznę ukochanego Ma ona teraz wybierać między pozostałymi mężczyznami, którzy jej są zupełnie obojętni i obcy. Ostatecznie wybiera silniejszego i bardziej bezwzględnego wobec swojego rywala, którym jest, dodajmy dla dokładności Polak, tak zawsze się chętnie poświęcający. W tym jednak wypadku poświęcenie bytu nierozumne i bezcelowe, bo gdyby był ów Polak mógł wglądać w serce tej kobiety, ostatniej z ludzkiego rodzaju, to byłby tam dostrzegł ukrytą miłość właśnie ku sobie. Wreszcie najstarszy z tej ludzkiej gromady wyrzuca z księżyca na ziemię pocisk, a w nim rękopis, opisujący całą historję ludzkiego rodzaju na księżycu, a z tego to właśnie rękopisu korzysta autor w swojej powieści.

Tak jak jest ona powieść „Na srebrnym globie" w przepysznem wydaniu z oryginalnemi, a artystycznie wykonanemi rycinami, z astronomiczną mapą księżyca, no i z całem tem natchnieniem fantazji, skrępowanej wynikami ścisłej nauki, a ujętej w formy prawdziwego artyzmu pod względem stylu, języka czyli jednem słowem tak jak jest ta powieść, przedstawia ona dobry nabytek dla naszej najnowszej literatury. „Na srebrnym globie" jest dziełem udatnem pod każdym względem i nie prędko zapewne wyjdzie z rąk czytającej polskiej publiczności.

PISMA. *Wisła*, miesięcznik geograficzny i etnograficzny, wydawany z częściowej zapomogi Kasy im. Mianowskiego, pod redakcją Erazma Majewskiego. Tom XVI. z 20 tablicami i 64 rysunkami. Warszawa, 1905 8-ka str. XII. i 802.

Kiedy przed rokiem ogłosiłem ocenę „Wisły", wywołała ona wielkie oburzenie, ale też zarazem bardzo pożądany przezemnie skutek. Wystarczy porównać rocznik poprzedni z obecnie omawianym, ażeby spostrzedz poważną między nimi różnicę, wielki postęp w kierunku ulepszenia pisma, a zarazem brak niemal całkowity wad i usterek, jakie wytknąłem rocznikowi XV. Obecnie jest widoczna staranność redakcji w doborze prac i materjałów surowych, dbałość o rozprawy syntetyczne z zakresu etnografji, krajoznawstwa i antropologji, a nakoniec i o to, ażeby materjał, zapisany z ust ludu, odpowiadał wymogom nauki. Jednem słowem — postęp w każdym kierunku, ażeby tylko pismo postawić na stopie prawdziwie naukowej.

Uwadze nasuwa się najpierw praca Marka Gozdawy pt. „Obszar dawnego powiatu Kamienieckiego", stojąca w ścisłej łączności z dawniejszą rozprawą tegoż autora p. n „Terytorjum dawnej ziemi Brzeskiej", która zajmuje się Kamieńcem litewskim w czasie, kiedy on stanowił samodzielny powiat, t. j. do pierwszej połowy XVI. wieku włącznie. Wylicza ona poczet dzierżawców-namiestników, a następnie zajmuje się poszczególnemi miejscowościami, jakie wchodziły w skład tego powiatu, opisem samego Kamieńca i czterech wójtostw, do niego przynależnych. — „Dział etnograficzny na wystawie rolniczo — przemysłowej w Lublinie w roku 1900" został dokładnie opisany przez inicjatora tej części wystawy prof. Hieronima Łopacińskiego. Z uznaniem podnieść należy, iż zgromadzono na wystawie mnóstwo cennych okazów, na których — niestety — należyte rozmieszczenie brakło odpowiedniego miejsca, a z jeszcze większem tę okoliczność, że skutkiem rozesłanego kwestjonarjusza pozyskano cały szereg odpowiedzi, niejednokrotnie bardzo sumiennych i wyczerpujących. Te właśnie ostatnie uważamy za największy sukces wystawy, bo w ten sposób pozyskała nauka pewną ilość surowego materjału. Na pochwałę wreszcie readakcji „Wisły" należy dodać, że cały ten materjał został wydany w trzecim zeszycie omawianego rocznika. — P. E. Majewski podał trafne uwagi „Z powodu rozpraw antropologów germańskich na temat dziejów przedhistorycznych słowiańsko germańskich". Przytoczywszy referat D-ra O. Monteliusa, wygłoszony w roku 1899. w Lindau, oraz dyskusję, jaka nad nim wywiązała się, wykazał sprzeczności i tendencyjność uczonych niemieckich, nawet tej miary, co Virchow i co gorsza, nieścisłość w ich wywodach i brak koniecznego w badaniach naukowych krytycyzmu. A dowody, jakie na to podaje, są niezbite i niezaprzeczone.

Dr. Nadmorski w pracy pt. „Połabianie i Słowińcy" zajął się omówieniem literatury, jaka w ostatnich latach ukazała się w zakresie etnografji tych plemion, poczem szeroko rozpatrzył pewne właściwości słowińskiej i kaszubskiej gwary, oraz przytoczył umiejętnie i pracowicie ułożony słownik gwary słowińskiej, z objaśnieniami znaczenia poszczególnych wyrazów w języku polskim. — Strony językowej gwar ludowych tyczy się „Kwestjonarjusz do djalektologji polskiej" St. Szobera, który wyszedł też w osobnej odbitce. — Antropologji tyczą się prace D-r. Wł. Olechnowicza „Kilka słów o typie polskim w ogóle, a lubelskim w szczególności" i dokończenie rozprawy z poprzedniego rocznika „Rasy Europy i wzajemny ich stosunek dziejowy", Dr. J. Talki Hryncewicza „Słów parę ze stanowiska antropologji w kwestji pochodzenia Słowian", w której autor staje na odmiennem stanowisku od badań prof. Potkańskiego oraz tłómaczenie francuskiej pracy M. Zaborowskiego p. t. „Słowianie pod względem rasy i ich początek". Do rzędu prac syntetycznych zaliczamy w końcu H. Paprzycy „Poglądy religijne przodków naszych", oparte na kronikach i dyplomatach z przed XVI. wieku. Z pracy tej dowiadujemy się o bogach pogańskich, djabłach, opętaniu ludzi przez moc czartowską i o czarownicach. Rzecz cała, napisana nadzwyczaj sumiennie, wykazuje często nierozerwalny związek między zabobonami średniowiecza o obecnymi u ludu naszego. Artykuł H. Łopacińskiego p. t. „Dawne podziały administracyjne gubernji lubelskiej" jest przyczynkiem do geografji historycznej i omawia podział gubernji za czasów pierwszego rozbioru Polski, z jakich części województwa złożono nową całość powiatu politycznego, jak nakoniec ukształtowano ziemię lubelską po przyłączeniu jej do Królestwa Polskiego i jakie zmiany poczyniono później w latach: 1842, 1844 i 1846. — Dalszy ciąg pracy Ignacego Radlińskiego p. t. „Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie" ma bardzo mało wspólnego z etnografją.

Z pomiędzy materjałów surowych odznaczęją się swoją objętością i wyczerpaniem przedmiotu zarysy etnograficzne: Zofji Staniszewskiej „Wieś Studzianki", oraz Aleksandry Rumlówner „Z mili kwadratowej obszaru nad rzeczką Kossówką". Obie one są pod każdym względem jak najlepsze. Reszta pracy — to drobne przyczynki z rozmaitych gałęzi etnografji. Niepodobna ich tutaj szeroko omawiać. Na wymienienie zasługują prace, tyczące się przemysłu, budownictwa ludowego i zmysłu jego w kierunku zdobniczym. A zatem J. Brandta „Przemysł drobny w powiecie Biłgorajskim, Al. Janowskiego „Nalepianki łowickie" i ściśle z tym artykułem łączące się „Wycinanki" Jerzego Warchałowskiego. „Hafciarstwo ludowe w okolicach Ojcowa" z illustrowała pięknie M. Stattlerówna, przyczynki do budownictwa podał H. Łopaciński w pracy „Okazy staropolskiego stylu budowlanego w Goraju i Wrzelowcu". Zwyczajów i życia ludowego oraz jego twórczości umysłowej tyczą się prace: W. E. Badury „Żniwo w wioskach parafji Pobiedr i Krzęcin" J. Milewkiej „Śpiewy dożynkowe" i „Ucieszne opowiadania z Ciechanowskiego", Wł. Koźmiana „Kilka słów o mieszkańcach parafji Krzczonów", I. Wolanowskiego „O szopce lubelskiej" i M. Wawrzenieckiego „Wieś Prandocin" i „Ze wsi Lelowic". Po zatem jest jeszcze mnóstwo drobnych prac, tyczących się przeważnie gubernji lubelskiej. — Dział „Poszukiwań", który składają drobiazgi w pewnych ściśle oznaczonych kwestjach, jest bardzo skąpy.

Tak samo skąpy jest dział recenzyjny. I tu musimy z przykrością powtórzyć uwagę, wypowiedzianą już w zeszłorocznej ocenie, że redakcja nie czyni należytego wyboru pomiędzy recenzjami. Nie rozumiemy bowiem, w jakim związku z etnografją zostaje ocena „Słownika czesko-polskiego" Hory lub Vrchlicky'ego „Legenda o świętym Prokopie". — Grupa „Drobiazgów ludoznawczych" reprezentowana jest pięknie, tak samo dział „Różnych wiadomości". —

Strona techniczna wydawnictwa jest bez zarzutu.

Na podniesienie i prawdziwą wdzięczność zasłużyła sobie redakcja podaniem mnóstwa illustracji, przedstawiających typy ludowe, budynki i t. p., bo żaden opis, choćby najdokładniejszy, nie da tak dobrego pojęcia o rzeczy, jak rycina. Kończymy życzeniem, iżby „Wisła" już z tego poziomu nigdy nie schodziła, niechaj wzbija się w górę i zyska cały szereg gorliwych współpracowników na leżącej odłogiem niwie ludoznawstwa.

Dr. St. Żdziarski.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.